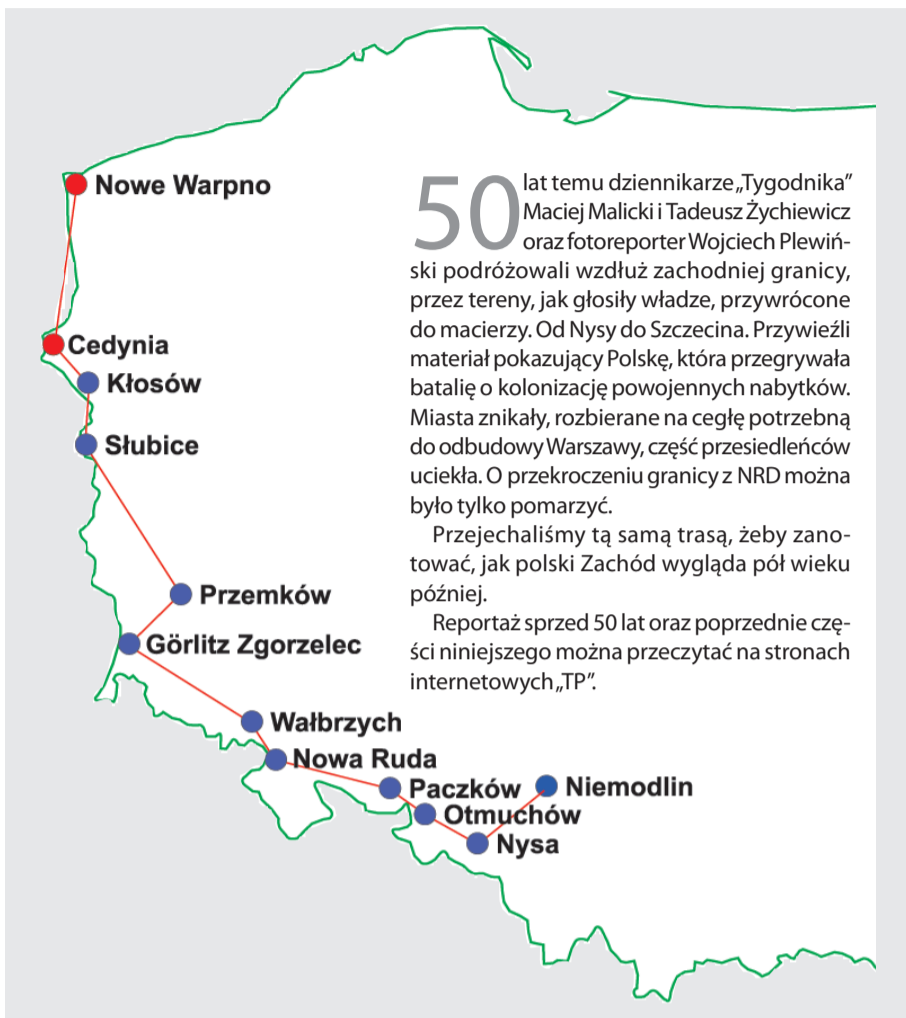


„Tygodnik” na granicy zachodniej (3)

Innej drogi nie widać

MICHAŁ KUŹMIŃSKI, MICHAŁ OLSZEWSKI



50 lat temu dziennikarze „Tygodnika” Maciej Malicki i Tadeusz Zychiewicz oraz fotoreporter Wojciech Plewiński podróżowali wzdłuż zachodniej granicy, przez tereny, jak głosiły władze, przywrócone do macierzy. Od Nysy do Szczecina. Przywieźli materiał pokazujący Polskę, która przegrywała batalię o kolonizację powojennych nabytków. Miasta znikły, rozbita na cegłę potrzebna do odbudowy Warszawy, część przesiedleńców uciekła. O przekroczeniu granicy z NRD można było tylko pomarzyć. Przejechaliśmy tą samą trasą, żeby zanotować, jak polski Zachód wygląda pół wieku później. Reportaż sprzed 50 lat oraz poprzednie części niniejszego można przeczytać na stronach internetowych „TP”.

• Bitwy pod Cedynią

W okolicach sławnej czynem oręża piastowskiego Cedyń, tam, gdzie w roku 972 Mieszko wraz z wojami Czcibora dzielnie dali odpór najeźdźcom dowodzonym przez margrabiego Hodona, nadal trwa walka. Co prawda nie na pięknie położonym Wzgórzu Czcibora, skąd, jak każda tradycja, chytre oddziały Polan rzuciły się na tyły wrażej konnicy, wycinając ją w pień.

Wzgórze Czcibora zarasta samosiejką i krzakami, aż trudno uwierzyć, że były lata, kiedy na stromych zboczach rocznicę zwycięstwa nad odwiecznym najeźdźcą germańskim świętowało nawet 30 tys. ludzi. Przyjeżdżali autokarami z całego kraju, żeby zobaczyć, jak na szczycie płoną święte ognie peeerolowskiej polityki historycznej, tej spod hasła: „Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem”. Z tamtych czasów pozostały: wielki postument orła, kamienne schody, klomb wypełniony odpadkami, lastrykowe tablice głoszące, że Mieszko stoczył tę bitwę „w obronie ziem polskich”, oraz wcale udana mozaika, na której białe wojska Polan roznoszą na kopytach germańską czerń.

Wzgórze Czcibora zarasta i jest w tym fakcie coś symbolicznego, jakby nie trzeba było już potwierdzać polskiej tożsamości przez potępienie repliką średniowiecznego topora. Ostatnio, razem z modą na inscenizacje historyczne, pojawiły się co prawda polskie i niemieckie drużyny, żeby powtórzyć krwawy epizod. Walka była zacięta, polala się nawet krew, ale to wciąż zabawa. Autokary nie przyjeżdżają, wycieczek brak. Tylko Strażnik Góry Czcibora – kiedyś dyrektor firmy na Śląsku, którego omal nie wywieziono na taczkach, obecnie opiekun postawionej na wprost pomnika budki z niemieckimi napisami „Gurken” i „Honig” – jeśli akurat nie pije wódki i ma siłę sprzedawać przejeżdżnym warzywa, tłumaczy Niemcom, że w tym miejscu po raz pierwszy, lecz nie ostatni, dostali od Polaków łupnia.

W Cedyń i okolicach widać jak na dłoni zmierzch dawnej narracji historycznej. Nie tylko Wzgórze Czcibora zarasta. W szpary pamiątkowego obelisku w Czeline, tam gdzie stanął w lutym 1945 r. pierwszy polski słup graniczny, wciskają się coraz grubsze trawy i chwasty. Nadchodzi Schengen. Właśnie czelińska strażnica pograniczników ma zniknąć jako pierwsza w Polsce. Już za miesiąc.

Na niedalekie muzea upamiętniające krwawe forsowanie Odry pod koniec II wojny światowej lepiej spuścić zasłone milczenia. W Siekierkach i Gozdowicach można oglądać pomięte wycinki z gazet sprzed trzydziestu lat, pleśń, grzyb, spróchniałe ze starości dekoracje, pamiątkowe księgi zwalone na kupę i wystukane na maszynie napisy „nie dotykać”. Stare zdjęcia, wpisy wzruszonych turystów, pamiątki złotych i marszobiegów, tarcze szkolne ułożone w kształt głowy orła albo w hasło: „Nigdy więcej wojny”.

A przecież 50 kilometrów na południowy zachód, po drugiej stronie, w miejscowości Seelow, gdzie spoczywa kilka tysięcy żołnierzy radzieckich, pokazali, że można – bez zadęcia i nowoczesnie, w budynku przypominającym wojskową ziemiankę. Odrobina dyskretnego oświetlenia, trochę odświeżonych zdjęć i odpowiednio ekspozycyjnych mundurów, i historia znów zaczyna mówić.

Cedynianki Sandra i Ola są w piątej klasie podstawówki, Patrycja w czwartej. Zapytane o bitwę pod Cedynią wertyj pamięć, chwilę się spierają, czy rok dziewięćset, czy tysiąc dziewięćset. Ola ustala: 974 rok. Mieszko I. Ale z kim? Patrycja jest pewna, że ze Szwedami, i nie daje się zbić z tropu. Rozpaczliwie szukają w głowie wykutych na pamięć dat, faktów i formulek. – Żeby bronić integralności ojczyzny ziem – recytuje w pewnym momencie Ola. A były jeszcze jakieś inne działania wojenne w okolicy? Dziewczyny wiedzą, że w czasie II wojny światowej, że forsowanie Odry. A kto tę Odrę forsował? Konsternacja. I nieśmiała odpowiedź: – Niemcy...

Wygląda na to, że przeszłość ziem zachodnich przestała być potrzebna komukolwiek oprócz topniejącej garstki kombatanów. Tylko cmentarze wojskowe w Siekierkach i Chojnej wyglądają, jakby ktoś się nimi opiekował.

A jednak nadal pod Cedynią trwają walki. Jak w trakcie całej tej podróży, tu również słychać nieustanne larum. Inna jest tylko stawka i przeszkody do sforsowania.

Na przykład burmistrz Mieszkowic wystarzał się o unijne fundusze na prom. Po dziesięciu latach pielgrzymek po polskich urzędach udało się: Odra płynie statek, który łączy polski i niemiecki brzeg. W Gozdowicach mają nadzieję, że pojawi się więcej turystów, że przyjadą po miód z pasiek braci Arostków i na wycieczki rowerowe.

Andrzej Wóźniak remontuje tu dom stojący po sąsiedzku z muzeum sapersa. Spalona półtrina świeci gładzią gipsową i nową da-

chówką. Odda go pod wynajem, to przecież na skrzyżowaniu drogi od promu z główną trasą. Przed wojną, mówi, Gozdowice były kurortem berlińczyków. *Luftkurort*, „Perla nadodrzańska”. Mieszkało tu dwa tysiące ludzi.

Paweł Altheim, menadżer luksusowego Klasztoru Cedynia (czterogwiazdkowy hotel z restauracją), przyznaje, że w pewnym sensie bitwę pod Cedynią toczy każdego dnia. Cedynia jest niezbyt bogatym miastem, a spotkani na rynku mieszkańcy z gorzkim uśmiechem mówią, że w bliskiej okolicy działa jedenaście domów publicznych, co w przeliczeniu na liczbę mieszkańców daje na pewno niezły wynik.

Więc podnoszony przez Piotra i Aleksandrę Hryniewiczów z ruin romańsko-gotycki budynek przenosi w inną galaktykę. Oferuje niesłychany jak na polskie możliwości standard – wnętrze dopięszone w każdym calu, meble, lampy, okna na zamówienie. Żadnej prowizorki. Czarny tuppek na podłogę ściągali z kamieniołomów chińskich. Kafelki łazienkowe są tak delikatne, że nie można ich zmywać detergentami. Osiem lat ciężkiej pracy właścicieli. Na dodatek odbudowali ruinę zgodnie z regułami rekonstrukcji zabytków. Żadnych tanich nadbudów, blachodachówki i okien PCV. Do tego prywatna galeria malarstwa XVII-wiecznego, zabytkowe meble, klasyczna muzyka w restauracji i klasztorna surowość wnętrza pozbawionych nadmiaru detali. Zychiewicz i Malicki nie mieli szans, by spotkać takich ludzi.

Właściciele Klasztoru są zamożniejszym wcieleniem Jana Sobiesiaka ze słubickiego bazaru. Skala inna, ale zależności identyczne.

Paweł Altheim: – Przede wszystkim odwiedzają nas klienci z Niemiec. Przyjeżdżają na przykład na obiady z Berlina. Organizują imieniny, jubileusze. Zamawiają świeżą dziczyznę, szynkę i dobrego rieslinga. Klient niemiecki jedzie do Polski z poczuciem, że wszędzie chcą go naciągnąć. Musi uwierzyć, że za swoje pieniądze otrzyma, jak się teraz ładnie mówi, produkt wysokiej jakości. Jeden fałszywy ruch z naszej strony, nieświeże mięso, brud w łazience albo arogancki kelner, i przyjadą z Berlina się skończy. Pojadą gdzie indziej.

W tym samym czasie walczą też chłopaki z niedalekiego przejścia granicznego w Osinowie. Bazar tu mniejszy niż w Słubicach, ale interes się kręci. Dawid, szczupły młodzieniec z włosami ułożonymi na żeluzaprasza do budki, w której sprzedaje. Od podłogi do sufitu pudełka DVD ze starannie robionymi na drukarce atramentowej okładkami, prawie takimi jak oryginalne. Wszystkie po niemiecku. Na odwrocie większości informacja, że premiera kinowa albo była dopiero co albo niedługo będzie; 10 euro za sztukę. – Naloty? Pewnie, że są. O, w tym aucie siedzi pan z policji – pokazuje Dawid. W tym roku już trzy razy konfiskowali im towar, chociaż nigdy na jego wachcie.

Są sposoby: w pudełkach nie ma filmów. Dawid uśmiecha się szeroko i mówi tonem z reklamy piwa Bosman, że te pudełka to tylko reklama jego budy. Prawdziwy towar jest jakoby na zapleczu – od podłogi do sufitu różowo od filmów porno, które, jak in-

formuje handlarz, nie są w Polsce chronione prawami autorskimi.

I te piraty kupują legalistyczni Niemcy? – A co? Oni też mrówczą – śmieje się Dawid. – Niektórzy dwa, trzy razy dziennie po fajki przyjeżdżają.

Walczą też Wojtek i ekipa z Cedyń, stojąc na myjce niedaleko przejścia. Cent do centa i miesięcznie, jak twierdzą, potrafią wyciągnąć nawet tysiąc euro na głowę. Przy okazji pilnują parkingu sąsiadującego z bazarem.

Na parking wjeżdża srebrne volvo, tak zwany funknel nówka. Prowadzi starszy mężczyzna. Linie wyznaczające miejsca parkingowe są zatarte, więc zatrzymuje się na przejeździe.

– E, warzywo, wapiaku ty, tutaj się nie parkuje. Tam dalej se zaparkuj, nicht hier. Tu strasse jest. Verstehen?

w sezonie grzyby. Oplaca się bardziej niż siedzenie przy drodze.

Im dalej na północ, tym ciszej po obu stronach granicy, jakby bliskość morza uspokajała. Vierraden, Gartz, Geesow, Krackow, Grambow. Unia mogłaby tu zorganizować Europejski Szlak Cisy. Oś południe-północ jest dobra, bo główne szlaki transportowe biegną w poprzek. A wzdłuż granicy spokój, puste drogi płynnie przechodzące w gruntowe trakty, z pół zapach kizsonki, nieruchome bydło ras mięsnych, dzika Odra sunie niespokojnym nurtem. Po niemieckiej stronie opuszczone koszary, ślady dawnych zon wojskowych, elektrownie wiatrowe pracujące z namaszczaniem, farmy słoneczne czekają na słońce. Po wioskach nowe domy lew w lew ze zrujnowanymi spichlerzami, sypią się pruski mur. Ludzi brak. Nie czuć tu polskiej energii, ciąglego namysłu nad tym, jak zarobić na życie.



Nowe Warpno. Przemek pije pożegnalne piwo – jutro rusza do pracy w Holandii.

Niemiec odjeżdża. – To tumany, głaby, nie rozumieją ani słowa po naszymu. Można do nich wszystko powiedzieć, a oni tylko głowami kiwają – tłumaczy chłopaki.

Po czym odchodzą do czarnego mercedesa, którego kupili, tak mówią, dzięki myjce. Wjeżdża kolejne auto, któryś z nich rusza do boju. Niemiec sobie nie życzy. Nie szkodzi. Zona Niemca oblewa chłopaka wodą, wybuchu polsko-niemiecka awantura.

Paweł Altheim: – Jest w tych okolicach dziwaczne pomieszanie. Wielu ludzi żyje dzięki Niemcom i jednocześnie Niemców nie znosi.

Również przez wysoki mur z kamienia dochodzą sygnały, że w Klasztorze Cedynia Polacy wysługują się Niemcom. Że inwestor zabrał miejsce, w którym można było wcześniej zapalić ognisko i wypić piwo.

Z drugiej strony miejscowi już wiedzą, że do Klasztornej kuchni mogą sprzedać

Po polskiej stronie, pomiędzy przejściem drogowym w Lubieszynie a Nowym Warpnem, jest droga wąska na jeden samochód. Miejscowi ostrzegają, żeby nie rozpędzać się zbyt, bo łatwo przewieźć na masce dzika albo jelenia. Korony drzew złączone w jeden tunel. Półmrok nawet w słoneczny dzień. Gęsty, wilgotny las, przemysłowe ścieżki nikną w ciemności. Coraz mocniejsze z kilometra na kilometr poczucie, że asfalt zwęża się, kruszeje i kurczy jak strumień w najwęższym biegu. Jeszcze chwila i roztopi się w lesie. A to jeszcze nie koniec.

• Nowe Warpno. Koniec świata

Schyłek sezonu, po turystach nie ma już śladu, zresztą i tak nie przyjeżdża ich tu zbyt wielu, bo już drugi sezon z rzędu kąpielisko jest zamknięte – sanepid znalazł w wodzie bakterie coli.

pularniejszy port pasażerski w Europie. Port, parkingi i targ pękają w szwach. W najlepsze dni port odprawiał nawet 11 tys. pasażerów, wsiadali na pokłady statków wycieczkowych, na których działały sklepy wolnołowe z tanim jak woda wódką i sprzedawanymi za pół darmo papierosami. Nowe Warpno żyło z przemytu, zarówno drobnego, jak i całkiem poważnego – właśnie tam celnicy wykryli największy jak dotąd ujawniony przemyt wódki i papierosów o wartości prawie 1,4 mln zł. Wsiadało się na pokład po polskiej stronie, nabywało co trzeba, a następnie schodziło na łód w niemieckim Altwarpu.

W maju 2004 r., kiedy otworzyły się granice, sklepy zniknęły, a wraz z nimi przemysłnicy. W szczytowym okresie bosmanat w Nowym Warpnie notował 50 zawinięć w ciągu dnia. Dzisiaj co najwyżej osiem, a w poniedziałki trzy. Zyski z portu trafiły do Warszawy.

Po zmroku, na skraj pustego parkingu obok plaży, przy budce z szybkim jedzeniem przysposobionej z przyczepy kempingowej przysiadł przemytnik Przemek. Sący swoje pożegnalne piwo – rano wsiadzie do busa i pojedzie do holenderskiego Tilburga. Na początek na trzy miesiące, będzie przygotowywał sandwichy w barze.

– Mam posranie ostre – przyznaje. – Nigdy jeszcze tam nie byłem, holenderskiego nie znam. Ale już zdecydowałem, przecież mnie tam nie zjedzą, nie? Unia też jest dla ludzi.

Obsługuje Magda. – Nasze miasto zmieniło się w stolicę słomianych wdów – mówi. – Mężczyźni powyjazdzali, do Danii, Norwegii, Anglii, mój też pracuje za granicą. I ściągają rodziny, ostatnio dwie wyjechały. Wracają na razie nie zamierzają. A ja? A ja na razie zostaję.

Kiedys. To jedno z tych magicznych słów, które w miastach takich jak Nowe Warpno mają duże znaczenie. Kiedys pływały statki wolnołowe. Kiedys było kino, miejscowa stocznia nie nadająca za pracą, mężczyźni pracowali na wodzie, a woda od zawsze dawała węgorez, sandacze, sieje, leszczka wielkiego jak koń. Jeszcze dawniej, przed wojną, za Niemca, przyjeżdżali tutaj wypoczywać letnicy i emeryci.

Kina nie ma od dawna, stocznia splajtowała, turystów zbyt mało, by mogli ożywić miejscowość.

A ryby? Gdzie są ryby? W liczącym 1300 mieszkańców Nowym Warpnie zostało dwunastu rybaków. Zamiast 60 kutrów, jak jeszcze dziesięć lat temu, na Zalew Szczeciński wypływają cztery. Wszyscy odchodzą z zawodu, złożyli już

Osinów, granica. Wojtek na mercedesa zarobił myjąc szyby.



Nowe Warpno, przystań. Joanna czeka na jeden z ostatnich kutrów.



